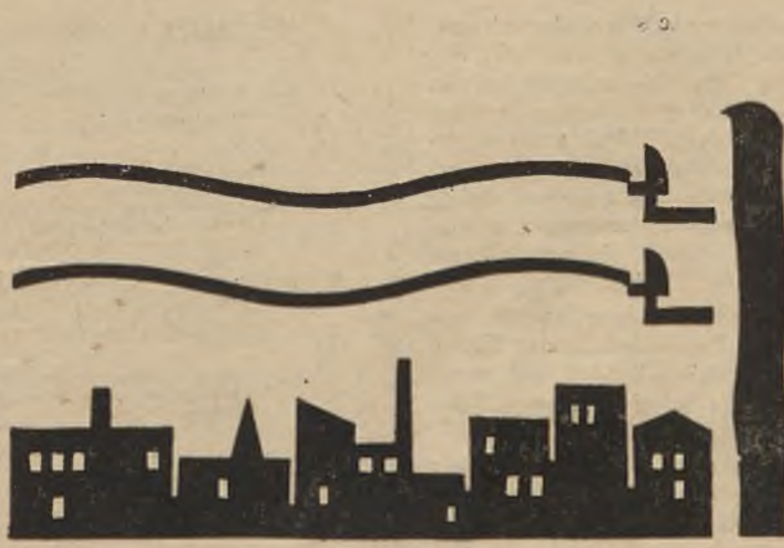
Nr. 9 Dodatek do nr. 30 „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego“ Rok I

Rozmaitości Literackie i Naukowe



TREŚĆ





PRZY KOMINKU

Jak przedstawiał się posag panny z XVII stulecia, której ojciec, znaczny i wpływowy posesjonat miejski, w kilka lat później pozostawia rodzinie piękną kamienicę na rynku, folwark i ogród na przedmieściu, wiele cennych precjozów i drogich sprzętów i znany na okolicę interes handlowy?

Szczegóły o tem znajdujemy w ciekawym „Djarjuszu“ mieszczanina Sandeckiego, imć pana Jerzego Tymowskiego. Właśnie wydał córkę dorodną i jedynaczkę za godnego jej Stanisława Mączkę i notuje skrupulatnie, iż ofiarował młodemu stadłu: 2 postawy karazji angielskiej lazurowej; 4 postawy karazji z Krakowa po 15 złp.; 4 postawy karuzji po 14 złp.; 4 postawy morawskie; 2 postawy karazji ze Żmigroda — razem wartości 241 złp.; rzeczy srebrnych i złotych za 270 złp. Ponadto obiecał gotówką wypłacić 600 złp., lecz narazie daje tylko 105 złp., resztę spłacając przez przyjęcie zięcia do spółki do kupna partji wina węgierskiego.

A wszystko praktycznie, przeważnie towarem, co był na składzie, z czego rozchód w „Djarjuszu“ skrupulatnie wyprowadzony obok zapiski o cenie sprowadzonego transportu szyb, sierpów i wina i pobożnego westchnienia: „Panie Boże Wszechmogący, racz mi bądź miłościw, proszę przez miłosierdzie Twoje najświętsze, proszę bądź mi miłościw“.

*

Marszałkowstwo gubernjalne niemało przynosiło zaszczytu elektom, którzy, częstokroć zbytnią unoszeni pychą, nadmierne o swojem znaczeniu mieli wyobrażenie. Jedni jednak przez uczynność swoją zasługiwali na ogólny szacunek, inni zato nieprzyjemnie zapisywali się w pamięci ziemiaństwa, a wtedy często stawali się przedmiotem ostrych żartów i przycinków.

Takim właśnie niepopularnym marszałkiem na Podole był Janusz Iliński, na którego miejsce kandydować postanowił jeszcze mniej popularny Bobr-Piotrowicki.

Że nie wybrano go, to mniejsza, ale nieprzyjemny wierszyk sklecono przy tej okazji, który długo sobie powtarzano w okolicy, a nawet i w Petersburgu, dokąd Iliński w gorliwości swej przeniósł się, by dosłużyć rangi senatora.

Niedawno intrygą i przewrotnym losem
objęła rząd nad szlachtą małpa z długim nosem,
której za niecne figle wyzłocono ziobra,
czemuż się dziwicie, że dziś noszą Bobra?
Niemasz nic dziwnego. święci lepią garnki
niejeden wyszedł w ludzie, co go bito w karki.

Że bracia-ziemianie śmieli się z kandydata, to mniejsza, ale i Rosjanie przyswoili sobie przezwisko małpy z długim nosem, które chętnie przypinali niepopularnemu, zresztą, i nad Newą senatorowi.

*

Widać, że wynoszenie się nie zawsze służy pyszałkom, o innym bowiem Ilińskim, również senatorze, opowiadają, że, gdy składki zbierano na ufundowanie kościoła w Kijowie, tak oto wpisał się dygnitarz na liście ofiarodawców:

„August hr. Iliński, senator, kawaler takich to orderów, kawaler świętego państwa rzymskiego itd. itd. — złotych 1.000“.

Spowodowało to lapidarne i złośliwe sformułowanie następnego zkolei zapisu, który brzmiał:

„Prosty sługa Boży, Adam Rzewuski, — złotych 10.000“.

*

Jeśli nie sam siebie wynosisz ponad innych, bliźni często czy to z pochlebstwa czy też nadmierną gadatliwością wiedzeni lubią o tobie szumnie się rozwodzić.

Przymówki

Na świętą Reginę (7 września)

Święta Regina
mgły rozpina...
Święta Regina
w sadzie gałęzie ugina

Na Narodzenie Najświętszej Marji Panny (8 września)

Gdy o Matce Bożej bywa siano
To ani zapóźno,
Ani za rano...

Marja się rodzi,
jaskółka odchodzi

W Narodzenie Panny Marji pogodnie.
Będzie tak cztery tygodnie...

Był sobie na Wołyniu taki pan Omieciński, co, jak wielu Polaków, niewiadomo kiedy i dlaczego poświęcali się cudzym sprawom po szerokim świecie. Omieciński miał krzyż za niepodległość Grecji (?) i chętnie nosił go na piersiach, stwarzając sobie niewytłomaczoną aureolę bohaterstwa. I oto Omieciński zostaje marszałkiem wołyńskim.

Mówca z Bożej łaski, znany z zamiłowania do kwiecistych oracyj, niejaki Podhorodeński, witając dygnitarza i zafascynowany tym krzyżem greckim, rozpoczął zawile:

„Kraj, ojczyzna, co mówię, Europa cała brzmią rozgłosem twoich czynów“...

Zatrzymał się w tej chwili elokwentny Podhorodeński, szukając w pamięci tych światowej sławy czynów, i zamilkł, a na to w pobliżu stojący Henryk Rzewuski spokojnie przerwał:

— A ja dziękuję w imieniu Portugalji.

Ogólny śmiech udzielił się i marszałkowi, ale długo nie śmiał się, Portugalja bowiem razem z Grecją w sojuszu do końca życia mu przyrosła z tytułem byłego marszałka.

*

Ile zabawnych zdarzeń notują kroniki anegdotyczne, gdy taki nasz rodak z głębokiej prowincji, stając przed obliczem cesarskiem, musiał używać francuszczyzny, by uniknąć oficjalnego języka.

Poczciwiec ks. Piwnicki, biskup żytomierski, chętniej byłby użył znanej sobie łaciny, niż francuskiego, gdy miał zaszczyt konwersować z carem Mikołajem, cóż jednak mógł poradzić, ratował się więc, jak mógł, klecąc zdania, jak drugoklasista. A chodziło mu o instancjonowanie Karmelitów bosych z Głębokiego:

— Qu'est ce que sont les carmes de Glebokie? — zapytał car Mikołaj.

— Ils sont tous bossus, Sire — odpowiada ks. Piwnicki.

— Comment, ils sont tous bossus — roześmiał się cesarz, domyślając się, że biedny biskup po prostu przetłomaczył polskie „bosi“ na „bossu“ (garbaty).

I, rozweseliwszy się, uwzględnił prośbę biskupa.

Amulety miłości i szczęścia

Według źródeł perskich

ONYKS

Miłość chwyć za złote skrzydła,
gdy kierować chcesz jej lotem,
bo uwikła cię w swe sidła
i zgotuje ci golgotę

Onyks na to lekiem będzie,
byś nie poddał się w jej jassyr
i z kart życia ciągnął wszędzie
nieprzerwane szczęścia passy.

Zwłaszcza, gdy oprawny w srebrze,
potęguje swoje władze,
kto go nosi tak, nie żebrze
o uczucie — ma je w darze...

KORAL

Jeśliś skory jest czy skora
w swem serdecznem uniesieniu,
noś ze sobą zawsze koral,
w złotym oprawny pierścieniu,

a nie przejdziesz nigdy mety
w szale ślepej namiętności,
co sprowadzi cię, niestety,
na przeróżne zawiłości —

bowiem koral cię uchroni,
od przygody, gdy zawodna,
i prawe ci serce skłoni,
z którem wszystko, nawet do dna.

JASPIS

Starą panną nie chcesz zostać
albo starym kawalerem,
nęci cię małżeńska postać
z uczuciem miłości szczerem —

jaspis ziści twe pragnienie,
sercu serca się oddźwiękną,
samotności pierzchną cienie,
co ci szpecą życia piękno —

ale go z wieczora nie kładź,
ani także, gdyś w podróży,
by moc jego nie urzekła-ć
i naopak nie wywróżył.

Remigjusz Kwiatkowski

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT

Handlarze spojrzeń

(Opowieść naiwna i wielce prawdziwa)

I

Śnieg ustał przed chwilą...

Przecznica przecinająca rzęsiście oświetloną ulicę, ciemna i głucha, ledwo oświetlona błyskającemi blado latarniami, wyglądała jak ponury tunel, wiodący w krainę nieznaną a groźną.

Do ujścia jej dobiegały jeszcze promienie wielkich lamp łukowych pobliskiej kawiarni, dochodziły, wydzierające się przez szczeliny okien, przez przeloty otwieranych ustawicznie drzwi, dźwięki muzyki. — lecz w niej było cicho, głucho, posępnie. Ściśniona dwoma szeregami wysokich domów, z kopułą czarnego nieba bez gwiazd, wyglądała jak tajemnicza szczelina, pełna przywidzeń, strachu i gróźb.

Ulica była pusta niemal — nieliczni przechodnie, niedochodząc ciemnej przecznicy, przechodzili na drugą stronę, by zajść do ogromnej kawiarni — niekiedy jeno, śpieszący do domu, zapóźniony mieszkaniec, mijał ją, nieświadomie przyśpieszając kroku. Jakaś kobieta, o żółtej twarzy i w staromodnem futrze, przeżegnała się nawet, choć w chwilę na twarzy jej wyczytać było można nietajone zdziwienie nad swym nieprzewidzianym postępkiem. Ani jedna dorożka od kwadransu nie przejechała tędy. Ostatnia stała na rogu godzinę blisko, — aż wreszcie znudzony i zgniewany dorożkarz, splunął ze złością i podciąwszy konia — odjechał.

Noc — ciemna, bezgwiezdna noc, opanowywała miasto.

Na pobliskim rogu ukazała się para przechodniów. On — wysoki szatyn w eleganckim futrze i bobrowej czapce, — ona — szczupła, i zgrabna, o ciemnych wilgotnych, wielkich oczach i złotych włosach. Szli pod rękę, szybkim krokiem, a sądząc z tego, iż zbliżeni byli do siebie więcej niż tego wymagała potrzeba, a nawet — wygoda, nie byli sobie obcy, ni obojętni.

W chwili, gdy kilkanaście kroków jeno dzieliło ich od posępnej przecznicy, ona, powiedziała coś wesoło, podnosząc oczy na towarzysza, który natychmiast, z czułym uśmiechem pochylił się nieco, by poprawić kołnierz jej futerka — gdyby nie ten. drobny napozór, fakt — nie uszłoby zapewne bacznego wzroku mężczyzny, że od ściany domu, na samej krawędzi przecznicy, oderwał się cień ludzki, by szmyrgnąć cicho w ciemną głębię tunelu. Za chwilę przechodnie owi doszli do rogu, zawrócili, jakby z żalem spojrzeli na połyskujące tysiącami świateł okna kawiarni, i znikli w ciemnościach.

W przecznicy mimowoli trzeba było zwolnić kroku.

Przechodnie — najniespodziewaniej, i logicznie niewytłomaczalnie, skorzystali z tego w ten sposób, by przytulić się do siebie mocniej jeszcze.

— Boję się — szepnęła ona — taka brzydka, ciemna ulica. Ty nie odejdziesz ode mnie, prawda?

Mężczyzna pochylił się właśnie, by dać zupełnie swoistą i objektywnie biorąc, nic niewyjaśniającą odpowiedź — gdy z mijanej bramy wypadł człowiek — potknął się, zaklął i błysnął światłem elektrycznej latarki. Mężczyzna wyprostował się szybko i złem okiem spojrzał na klnącego człowieka. Spojrzenia ich skrzyżowały się.

— Co za cud — jęknął właściciel latarki — doktór Zhorski! Panie doktorze — na wszystkie świętości — proszę do mnie...

Zhorski spojrzał uważnie. Człowieka tego nie pamiętał — niski staruszek w staromodnym palcie i cylindrze, z wielką siwą brodą, krzaczastemi brwiami i sumiastemi choć krótkiemi wąsami, kręcący się na jednem miejscu, byłby komicznym niemal, gdyby nie pewna dostojność oblicza, dziwna przenikliwość spojrzenia i stanowczość w kącikach wąskich ust.

— Pan wybaczy...

— Doktór... zapomniał? W kawiarni Inwalidów... Profesor Mergint jestem. Doktorze drogi — prędzej, prędzej, żona mi się otruła — każda chwila droga — nieszczęście!

W Zhorskim obudził się doktór.

— Otruła? Czem? — rzucił gorączkowo, gotów biedz bez namysłu. Towarzyszka pociągnęła go za rękaw.

— A ja? — Lucek.

— Nie wiem — mówił urywanie Mergint — jęczy i wije się w konwulsji — prędzej, doktorze, prędzej...

— Lecz pan widzi — jestem z narzeczoną — nie wiem...

Mergint podskoczył.

— Wszak pani nie skaże na śmierć kobiety — pani też kocha — ja rozumiem, pani nie może tu sama — więc pani raczy — na górę, pani poczeka — a doktór... — Żona umiera...

Zhorski przerwał energicznie:

— Prowadź pan!

Mergint zawrócił się i pobiegł szybkim elastycznym krokiem wprost niespodziewanym w jego wieku. Przeszli ciemne podwórze, oświetlone jeno kieszonkową lampką profesora i podszedłszy do ciemnej oficynki z dwoma oświetlonemi oknami, zatrzymali się chwilę przed drzwiami, czekając aż profesor otworzy je kluczem.

— Lucku — ja się dziwnie boję! — szepnęła ona.

— Dziecko malutkie — cóż ci grozi! Jam przy tobie przecież. Uspokój się Iruś, — ja przypominam sobie, to profesor uniwersytetu dr. filozofji i nauk przyrodniczych — graliśmy kiedyś w szachy...

Drzwi otworzyły się cicho i profesor — prze-

puściwszy narzeczonych przed sobą zatrzasnął je zaraz, poczem zrzucił palto i nerwowo pomógłszy uczynić to gościom, znów pobiegł na górę.

Kondygnacja schodów — rodzaj przedpokoju, poczem weszli, poprzedzani wciąż przez profesora, do dużego pokoju, obitego ciemnym dębem. Na środku stał wysoki, okrągły stół na jednej nodze, parę wysokich krzeseł i jeden fotel. — W pokoju było widno — choć lampy ani żadnego źródła światła nie było.

Wszystko to zresztą Zhorski i Irena uprzytomnili sobie później.

Przestąpiwszy ciężkie podwoje, Zhorski machinalnie rozejrzał się wokoło, by znaleźć drzwi do następnego pokoju, w którym, jak sądził, znajdowała się chora — prześlizgnął się wzrokiem po cudnie rzeźbionem dębowem obiciu, świadomie skonstatował z niezmiernym zdziwieniem, iż w pokoju tym nie było ani jednego okna — poczem ze zdumieniem spojrzał na profesora.

W pokoju *nie było innych drzwi.*

— Gdzież chora? — spytał nerwowo.

A profesor tymczasem, przestąpiwszy próg tej dziwacznej komnaty przeistoczył się natychmiast. Znikły pośpieszne nerwowo ruchy, drganie twarzy, zrozumiałe wobec targającego go niepokoju, znikł proszący, niespokojny, żebrżący niemal, wyraz twarzy.

— Chora? — spytał spokojnie, poczem powoli skierował się ku wygodnemu, obitemu ponsową kordowańską skórą fotelowi, z poduszką haftowaną w jakieś smoki zamiast siedzenia — chora, powtórzył — *chorej niema.* — Poczem wyjąwszy złotą tabakierkę, ozdobioną czarną emalją, usiadł flegmatycznie wskazując ruchem, godności pełnym, na krzesła.

Zhorski zsiniał.

— Co?

Staruszek zdumiał się:

— *Chorej niema* — powtórzył łagodnie i zażył tabaki.

Zhorski zacisnął zęby.

— Gdyby nie pański wiek, a głównie nie moja towarzyszka, oduczyłbym pana od podobnych — głupich — żartów. Choć, Ira! Idziemy!

Staruszek uśmiechnął się łagodnie i słodko.

— Nie pytam — dokąd. Ale ciekawym — którędy?

Zhorski bez słowa odpowiedzi zawrócił ku drzwiom i skamieniał:

Drzwi żadnych nie było.

Irena, trzymając kurczowo za rękę Zhorskiego, drżała cała. Zhorski zaś poczuł ze zdziwieniem jakiś dreszcz, graniczący z przestrachem.

— Gdzież ja u licha jestem? Wypuść nas pan natychmiast! Słyszysz!

Staruszek ze zdumieniem podniósł brwi:

— Toż nie trzymam... Proszę. Ale — którędy?

I znowu zażył tabaki.

Zhorski zagryzł wargi. Delikatnym ruchem oswobodził się od rąk drżącej nerwowo Ireny, i podszedłszy bliżej do profesora, szybkim, układnym ruchem, wyciągnął z kieszeni niklowany brauning i błysnąwszy lufą, rzekł spokojnie, choć złowróżbnym głosem:

— Panie! mam dość! Jeżeli doliczę do trzech, a pan nie wypuści nas — pańska żona będzie już nie pseudo-chorą, a rzeczywistą wdową.

— Raz!

Starzec podniósł obie ręce, dłońmi nazewnątrz, przy samej twarzy, podkurczył nogi i począł kiwać się na fotelu, poruszając szczękami.

— Dwa!

Kiwający się staruszek — kiwnął się silniej nieco i padł z fotela na ziemię...

Zhorski nerwowo odskoczył...

Przed nim — na podłodze siedziała olbrzymia, oślizgła ropucha

W pokoju bez żadnej wiadomej przyczyny ściemniło się mocno — zapanował półcień — dziwny jakiś — różowawy.

Jakby podniecony nerwowym, przestrachu pełnym okrzykiem Ireny. Zhorski skierował lufę brauninga na ropuchę i nacisnął cyngiel...

Miasto strzału rozległ się odgłos podobny do tego, jaki wydaje flet, gdy w niego dmuchnąć mocno, podniósłwszy wszystkie klapki — zaś z lufy poczęły wylatywać olbrzymie czarno-białe motyle, które spadając na ziemię, przemieniały się w żaby. — A ilość ich była tak wielka, iż nim oprzytomniał Zhorski, poczęły one włazić jedna na drugą formując wał, powoli lecz nieustannie zbliżający się ku niemu.

Zhorski nie wahał się.

Porwawszy wpółomdlałą Irenę w ramiona, uniósł ją i postawił na stole, sam oparłszy się o blat rękoma, wskoczył nań szybko. W ruchu tym jednak upuścił brauning — ten padł na ziemię i tym razem wystrzelił — dając huk mocny, przeciągły i jękliwy. Miast kuli jednak z lufy polała się różnokolorowa woda kolistemi pasy o zabarwieniu żółtem, czerwonem i czarnem obejmując stół i wirując wokoło niego z nadzwyczajną szybkością.

Wzbierając szybko nad podziw, woda w mgnieniu oka pokryła wał żab, dościgła powierzchni stołu i zrównawszy się z nią, nie zalewając jej jednak, szalonym wirem poczęła okrążać blat stołu, ze stojącemi na nim Ireną i Zhorskim.

Chwila — i woda, jakby znalazłszy ujście, poczęła znikać z ogłuszającym świstem — w pokoju rozwidniło się — i na suchej zupełnie podłodze Zhorski ujrzał staruszka siedzącego spokojnie na krytym kordowańską skórą fotelu.

— Państwu niewygodnie — zauważył słodko — zaraz pomogę — ot i już — tu szczęknął palcami w denko tabakierki, stół zniżył się zrównał z podłogą, wreszcie wszedł w nią, formując równą powierzchnię. — Zajmijcie, proszę, miejsca — tak m. przykro...

— Panie — syknął Zhorski, podtrzymując chwiejącą się Irę — pańskie sztuczki przestraszają mi narzeczoną. — Poczem usadziwszy ją na krześle, spojrzał na staruszka i rzucił zdławionym głosem:

— Któż pan u licha jesteś? — gdzie się znajdujemy — i po co nas pan tu zawlókł?

— Tyle pytań odrazu. Ha! Sprobuję odpowiedzieć po kolei. proszę tylko byś mnie pan swoim pistolcem, znajdującym się zresztą znowu jak dawniej w pańskiej kieszeni, nie straszył, (przy tych słowach Zhorski machinalnie sięgnął do kie-

szeni, rewolwer rzeczywiście leżał na dawnem miejscu). Otóż — kim jestem? Jestem jednym z ostatnich przedstawicieli licznej dawniej rodziny czarodziejów — zaprosiłem — słowo to staruszek zaakcentował dobitnie — zaś państwa do siebie nie tyle ze względu na jego czarującą narzeczoną, ile ze względu na jej oczy...

Nastąpiła chwila ciszy. Staruszek znów zażył tabaki, by spokojnym ruchem dobyć z ucha szkatułkę z cygarami i papierosami i postawić ją obok na stoliku, co usłusznie pod ręką wyskoczył z podłogi.

— Otóż teraz ostatnie pytanie — może cygaro?

— Gdzie jesteście? Jesteście w składzie handlarzy spojrzeń — tak panie — ja jestem Handlarzem spojrzeń i uśmiechów.

II

Baronowa Aldona Papenholz-Papenberg, nee Süsser (z tych lepszych Süsserów) po raz czwarty w ciągu godziny zadzwoniła na lokaja, by w chwilę po raz czwarty od godziny, usłyszeć szacunku i pokory pełne (350 milj. miesięcznie i 4 liberje na rok) oświadczenie: „żadnych listów dla Jaśnie Pani Baronowej niema“.

Baronowa Aldona Papenholz-Papenberg, nee Süsser (z tych „dobrych Süsserów) byłaby z przyjemnością zwymyślała, a nawet obiła, szacunku i gotowości do wszelkich usług pełną postać lokaja w zielonej ze srebrem liberji, gdyby nie świadomość, iż po pierwsze, „dla służby należy być grzeczną i dobrą“, po drugie, że „prawdziwe panie nie podnoszą nigdy głosu“ no i wreszcie, po trzecie, iż złość i uniesienie psują ogromnie bosko klasyczną urodę jej twarzy.

Wobec tego wszystkiego baronowa Aldona Papenholz-Papenberg, poprzestała na łaskawem kiwnięciu głową, poczem już po wyjściu lokaja, użyła sobie i swemu humorowi półgłośnem lecz dobitnem określeniem: bałwan, skierowanem niewiadomo do kogo.

Sprowadziwszy w ten sposób w ziemię piorun, gotowy zmącić atmosferę dystyngowanego domu baronostwa Papenholz-Papenberg (Dom Bankowy Papenholz-Papenberg i S-ka — wszelkie operacje w zakres domów bankowych wchodzące, kapitał zakładowy 10 miljardów marek, rezerwowy 30-warunkowy rachunek bieżący w P. K. K. P. Nr. 13653. — Bilety loteryjne na raty), baronowa podeszła do olbrzymiego lustra po raz niewiadomo już który, obrzucić bystrem spojrzeniem swą postać.

Usłużne, a zawsze, nawet dla baronowej Papenholz-Papenberg, prawdomówne lustro, pokazało jej wspaniale rozwiniętą, bosko zbudowaną postać trzydziesto i coś (ale niewiele) letniej kobiety, o klasycznej, pięknej twarzy, o głowie zdobnej hełmem czarnych jak heban włosów.

Baronowa nie poprzestała jednak na tem — wpatrywała się w odbicie z naprężoną ciekawością, a zarazem — z pewną — złością i oburzeniem.

Usłużne i prawdomówne lustro odbijało z cierpliwością jej rosłą muskularną postać z odrobinkę, za szerokimi udami i za wielkim biustem, — a im dłużej patrzyła baronowa, tem mocniej zaciskały się w pięści jej ręce, zdobne nielicznemi, lecz pięknemi pierścionkami.

Baronowa Aldona Papenholz-Papenberg miała się czego złościć — była piękną — tak — ale nie nadto — mogła być pożądaną i upragnioną — ale kochaną?... Zwłaszcza przez niego? Lustro mówiło z niezrównaną flegmą: nie!

Mimo całą urodę baronowej, odchodziło się od niej łatwo, mimo przepych jej kształtów, zgasić ją mogła — no, zgasić może nie (tualety, kosztowności i uroda!) ale odbić jej najupragnieńszych wielbicieli, ledwo ładna, ba, przystojna nawet, panienka.

Bowiem — bowiem cudnie osadzone oczy baronowej nie mówiły nic, jej przepyszne usta nie umiały się uśmiechać, w jej spojrzeniu nie sposób było nic wyczytać. Baronowa Papenholz-Papenberg nie umiała spoglądać, nie posiadała tajemnicy spojrzeń, każących drzeć z rozkoszy lub strachu, przykuwających do rydwanu kobiety na zawsze. Baronowę Papenholz-Papenberg, née Süsser (z tych „dobrych“ Süsserów) porównać by było można do fotografji pięknej kobiety, robionej przez czwartorzędnego fotografa, co złem oświetleniem i fatalnym retuszem zmatował oczy i zabił wyraz ust — była piękna, a raczej piękna być mogła, gdyby...

Pokorny i szacunku pełen, a usłużny lokaj, od paru minut czekający, aż baronowa odwrócić się zechce, chrząknął cicho.

Baronowa zwróciła głowę:

— Co — syknęła niemal, nie patrząc.

— List — do jaśnie pani.

Z nadzwyczajnym i nie licującym jej zgoła pośpiechem baronowa schwyciła ze srebrnej, trzymanej przez lokaja, tacy, list w grubej szaro-błękitnej kopercie zdobnej czarnym monogramem, ze stemplem dnia wczorajszego.

Rozerwawszy nerwowo kopertę, pośpiesznie wyłuskała list i przebiegła treść jego gorączkowem spojrzeniem.

— „Łaskawa Pani! Ku wielkiemu żalowi memu nie mogę jej służyć swoją obecnością na oznaczoną godzinę, bowiem czas mój jest tak zajęty prawdziwemi choremi, że z trudem dla siebie nawet urywam godzinkę. Na jedno z najbliższych jej przyjęć wpadnę jednak z chęcią, na chwilkę, by pogadać z Panią, choćby nawet i o jej chorobach, lecz jako gość, bo doktór nie ma tu nic do czynienia. Nawet zbawcze „nerwy“ nie mają tu zastosowania. Radzę mniej zaprzątać sobie głowę zdrowiem — które jest idealne. Słowa szacunku L. Zhorski.

Aldona zagryzła usta, zaś ujrzawszy stojącą ciągle we drzwiach postać lokaja, podbiegła niemal ku niemu.

— Czego tu stoisz ty — tu zmełła w ząbkach przezwisko.

— Jaśnie pani wybaczy, lecz przed chwilą telefonował do jaśnie pani baronowej jakiś pan i kazał powiedzieć, że profesor Mer... Mer...

— No! — rzuciła niecierpliwie Aldona Popenholz, zawisłszy oczyma na ustach lokaja.

— ...Mergint się zgodził i polecenie spełni.

— Aa! — wyrwało się z ust baronowej z jakąś szaloną, a mściwą radością.

III

Zhorski oniemiał.

— Nie rozumiem pana... Nie wiem kto z nas zwarjował — ale jeden nepewno...

Staruszek uśmiechnął się pobłażliwie:

— Tak się tylko zdaje. Tak zdaje... Po prostu pańska — Słowo „Pańska“ podkreślił mocno, — nauka, nauka par excellence ludzka nie pozwala panu stanąć na potrzebnej wyżynie, dla zrozumienia rzeczy... A sprawa tak jasna, tak jasna. — Nie wiem czy pan zna te mądre, o bardzo mądre — doprawdy radzę cygarko, orzeczenie: le chef-d'oeuvre de satan au XX siecle est de se taire — otóż to właśnie... Ale do rzeczy—skoro pan prosi o to. Jesteście w składzie Handlarza Spojrzeń i Uśmiechów — a zprosiłem Was — by — otrzymać ,powiedzmy, uśmiech i spojrzenie pańskiej narzeczonej. Operacja, ani przykra, ani bolesna i rysów nie oszpeci o nie... na organizmie też się nie odbije... zaczniemy więc?

Mergint tupnął nogą.

Ze ściany, gładkiej jak zawsze wyszło stworzenie — na sam widok, którego dreszcz ohydy i wstrętu przejął Zhorskiego.

Niski, pękaty karzeł niemal, o nagiej, owrzodzonej i oliszajonej czaszce z płatkami śliny czy piany w kącikach ust, nie przykrywających czarno-żółtych rzadkich, kłów, raczej, niż zębów; krzywe nogi z ogromnemi stopy gięły się zda się pod nawałem i masą pękatego korpusu — małe załzawione oczy i wydatne zmysłowe, lubieżne usta—plus coś odradzającego co biło, emanowało z całej postaci—oto istota, która, rechocąc cicho, podeszła, potoczyła się raczej, do Merginta.

Zhorski instynktownie przysunął się do Ireny.

Koło wygodnego fotela Merginta, wyrósł tymczasem, dosłownie niemal wyrósł z podłogi, bo inaczej nie można nazwać podobnego wychylania się, wysoki fotel, czy krzesło z poręczami, przypominające nadwyraz, krzesło u dentystów, wzbogacone jeno siecią drutów, przewodów, lusterek, wypukłych i wklęsłych, okrągłych, czworokątnych i ściętych w kształt półksiężyca. Tysiące śrubek, bloków, dźwigni tajemniczych, a nie pojętych, sprawiały, iż siąść w nim wydawało się rzeczą niemal niemożliwą, zaś bądź co bądź niebezpieczną w najwyższym stopniu.

Karzełek majstrował coś chwil parę przykręcał śrubki, poprawiał jakieś obręcze na domniemanej wysokości głowy przytwierdzone, przecierał zamszem liczne lusterka.

Mergint tymczasem niecierpliwie postukiwał palcy w tabakierkę.

Papuga, niewiadomo od kiedy fruwająca po pokoju — o karykaturalnie dużem łebku, wyrównywającym niemal połowie korpusu, w opierzeniu bajecznym, niespotykanym nigdzie, skrzeczała od czasu do czasu nieznane słowa w dziwnym języku. Rudo złoty wąż o rubinowych oczach i ogonie ozdobnym djamentową kitą przewinął się koło nóg Ireny by wyrzec chrapliwym ludzkim głosem „przepraszam“...

„Idź precz, idź precz“ zaskrzeczała nagle papuga. — Wąż podniósł łeb i nagle uniósłszy się w górę — bez widomego wysiłku pofrunął za papugą skrzeczącą przeraźliwie. — Drobny djamentowy deszcz przysłonił i zmatował kontury mebli — półcień zgęstniał, światło zachybotało się — by w chwilę powróciło wszystko do dawnego stanu.

— Czekam — wyrzekł Mergint.

— Nigdy — wyrzekł chrapliwym nieswoim głosem Zhorski.

— Boję się, boje... — szeptała zbielałymi usty Irena.

Karzeł przysunął się do Meringta — zmalał widocznie do długości chłopięcego ramienia i wdrapawszy się jak kot na Merginta zaszeptał mu coś szybko do ucha.

Mergint nieznacznym ruchem dał mu psztyczka w nos — karzeł rechocząc cicho spadł na ziemię, zmalał do wielkości żaby — podskoczył w górę — wzleciał aż pod sufit i spadł na podłogę w naturalnej swej postaci.

— Czy wiesz pan — Mergint uśmiechał się życzliwie — o co mnie prosił ten błazen?... Nie mniej jak o to, by w razie dłuższego oporu, oddać mu *po* operacji, lub *przed* operacją, pańską narzeczoną, na jakąś godzinkę, a pana...

Zhorski z zaciśniętymi pięści skoczył na niego — rzucił się jak lew w skoku, by całą siłą swej młodej postaci, całą mocą mięśni uderzyć starca — w chwili skoku krótkie stuknięcie a tobakierkę podenwało go z ziemi i rzuciło głową o ścianę — krew rzuciła mu się ustami i nosem, zalała oczy — czaszka pękała z bólu — upadek na ziemię uprzytomniał go jednak. Nowy ruch ręki Merginta — i krew bieżyć przestała, pozostał jeno nieznośny dławiący ból — chwila i on zmniejszać się począł.

— Dość tego — głos Merginta stawał się co raz głośniejszy i ostrzejszy — albo pani się zgodzi lub spełnię prośbę karła — a pana... pana tak ukarzę, że nawet *moja* fantazja się wzdryga! Słyszysz.

— Łotrze — łotrze... bełkotał Zhorski.

— Co? Mergint podniósł się. — Coo...

— Panie — ja usiądę — ja zaraz usiądę — tylko nie rusz go, tylko nie rusz.

— Łzy tamowały głos Ireny... tylko nie rusz... i jeżeli można, żeby nie bardzo bolało.

— Więc siadać! Prędko!

— Może jeszcze chwilę — doktorze...

Zhorski odwrócił się jak na sprężynie. Mergint — sam Mergint — zdziwił się tak widocznie, że aż znieruchomiała mu twarz.

Z tyłu, za Zhorskim u samej ściany — stał wysoki mężczyzna, ubrany w żakiet skrojony po mistrzowsku, z zielonym goździkiem w klapie. Twarz golona, ściągła, oczy chłodne, a wesołe, prawe przysłonięte, zmatowane, chłodem przejrzystym kwadratowego monokla. W ręku miał srebrne gładkie port-papiros, ozdobione również czarną emalją — cylinder lekko na bakier, noszony tak, jak go umieją nosić jeno starzy boulvardier'zy paryscy, zda się śmiał się wzgardliwie swym czarnym połyskiem.

— Ty — tu? Wykrzyknął Mergint.

— Ja — tu — jak echo odparł przybysz.

Błyskawiczne uderzenie palców Merginta w dno tabakierki, spotkało jak echo stuk palca przybysza w wierzch czarno emaljowanej papierośnicy.

(D. c. n.)

Czy możemy być wiecznie młodzi?

Chcąc poznać, ile lat ma drzewo, liczymy ilość pierścieni no pniu.

W stosunku do człowieka — ku radości tych, którzy (częściej które) chcą zataić swój wiek — nie posiadamy pewnego i stałego sprawdzianu. Gdyby nie to, że posiadamy cały system metryk i ksiąg stanu cywilnego, bylibyśmy w określaniu wieku ludzi skazani na mniej lub więcej prawdopodobne przypuszczenia. Albowiem chociaż starzenie się człowieka odbywa się według pewnych praw niezmiennych w granicach ogólnych, zależy jednak od szeregu czynników zewnętrznych, wpływających na zachowanie młodości lub jej zniszczenie — oraz od charakterystycznych, często dziedzicznych zdolności, zapobiegających wczesnej starości lub przyspieszających ją.

Naszą epokę charakteryzuje coraz wyraźniejsze dążenie ku zachowaniu „wiecznej" młodości. Jeśli przed laty starano się czemprędzej nadać dziecku wygląd człowieka dorosłego, to dziś — przeciwnie — starcy chcą jak najdłużej być ludźmi „młodymi" lub przynajmniej za takich uchodzić.

Młodzież stała się obecnie pokoleniem rządzącem w społeczeństwie, dzięki temu, że ona wodzi rej w sportach, modzie i w urabianiu światopoglądu społeczeństwa, z tego punktu widzenia dążenie do zachowania młodości staje się czem więcej, niż próżnością. Człowiek młody ma większe szanse w tej walce, która się zwie życiem; na starzejącego się człowieka patrzy się, jako na mniej zdolnego do wysiłków. Przeto ogólna walka jednostek o własną młodość nabiera niemałego znaczenia społecznego.

Kto jednak chce wroga zwalczyć, musi go przedtem dokładnie poznać.

Jak wygląda twój wróg, starość?

Polega ona przedewszystkiem na zmianach i przesunięciach woreczków tłuszczowych, występujących w wieku późniejszym. Chociaż człowiek w wieku 21—25 lat przestaje już rosnąć, ciało jednak w okresie od 20 lat do czterdziestki normalnie przybiera na wadze kilka kilogramów, by wreszcie, od sześćdziesiątki poczynając, regularnie tracić. Te wahania polegają na grubieniu muskulatur, oraz na przypływie i utracie tłuszczu. Ale nie te ilościowe zmiany pozwalają ustalić wiek człowieka, a miejsca, w których tłuszcz zanika i — przeciwnie — w których się w pewnym wieku zjawia. U niemowlęcia i małego dziecka tłuszcz gromadzi się w policzkach; ten okres charakteryzują też: mały nosek, wąskie wargi, gładka i różowa skóra. Do jakiegoś dwudziestego roku życia stan ten pozostaje bez zmiany. Wprawdzie wargi stają się szersze, zachowują jednak swą świeżą czerwoność, nos wprawdzie powiększa się — ale jednak żadna fałda nie przecina skóry na twarzy. Dopiero od 20 roku zaczyna się charakterystyczne przesunięcie tłuszczu do niższych „regjonów" twarzy. Więc policzki stają się coraz bardziej obwisłe, nos i uszy — większe i bardziej mięsiste, na karku tworzą się fałdy tłuszczu. Te same zmiany zachodzą zresztą i w innych częściach ciała: kronie, ramiona i dłonie chudną, wówczas gdy w okolicy bioder i brzucha gromadzą się coraz większe pokłady tłuszczu. Następnie zmiany samego naskórka. Delikatne naczynia krwionośne, doprowadzające krew prawie do powierzchni skóry, zwężają się coraz bardziej. Powoduje to mniejsze ukrwienie np. rąk, skutkiem czego te stają się zimne; skóra staje się sucha, traci swą dawną elastyczność.

Pierwszą zapowiedzią starzenia się są zmarszczki na czole, u nasady nosa i pogłębiające się fałdy dokoła nosa i ust. Zmienia się też kolor skóry na chorobliwie żółty lub bronzowany, wargi nieco sinieją. Pod oczyma tworzą się głębokie bruzdy. Żyły bardzo wyraźnie występują na wierzch, szczególnie na rękach...

Takie wyliczenie wszystkich wspomnianych zewnętrznych objawów starzenia się nie powinno jednak przerażać czytelników, zwłaszcza zaś — czytelniczek. Wprawdzie nikt z nas nie potrafi uniknąć losu i starzeć się musimy, choć nauka wciąż szuka dróg dla wywalczenia ludzkości przynajmniej kilku lat młodości. Ale jeśli narazie musimy się starzeć, nie powinno to jednak następować przedwcześnie. Celowa hygiena skóry, chroniąca ją przed niezdrowemi i szkodliwemi wpływami, podtrzymanie siły i zdrowia organizmu i wreszcie — jeśli wszystkie środki naturalne zawiodły — pomoc lekarza — oto droga! Można więc np. przez drobne zabiegi chirurgiczne wyrównać fałdy i bruzdy na twarzy i w ten sposób nadać sobie wygląd znacznie młodszy.

Niedawno jakiś lekarz amerykański wynalazł nową metodę odświeżania naskórka przez zastrzyki ekstraktu z młodych świnek. Badania i obserwacje wykazały skuteczność tej metody: po tygodniu zmarszczki znikały.

Więc chociaż należy jeszcze powyższą wiadomość sumiennie skontrolować, daje się jednak zauważyć postęp w tej dziedzinie i bardzo być może, że następne pokolenie wcale się nie zmartwi, spostrzegłszy nagle w lustrze na swej twarzy pierwsze, niewyraźne jeszcze oznaki starości.

S.